



Wpatruję się w swoje wytarte skórzane buty, na których osiadła cienka warstwa popiołu. Tutaj kiedyś stało łóżko, które dzieliłam z moją siostrą Prim, a tam dalej był kuchenny stół. Cegły ze zwalonego komina leżą na osmalonej stercie i stanowią dla mnie punkt odniesienia, gdy rozglądam się po domu. Niby jak inaczej miałabym się połapać w tym morzu szarości?

Po Dwunastym Dystrykcie nie pozostało niemal nic. Miesiąc temu bomby zapalające Kapitolu zmiotły z powierzchni ziemi ubogie górnicze domy w Złożysku, sklepy w mieście, nawet Pałac Sprawiedliwości. Tylko Wioska Zwycięzców nie poszła z dymem, właściwie nie do końca rozumiem, dlaczego. Może chodzi o to, żeby mieć gdzie ulokować ludzi zmuszonych do przybycia tu na polecenie Kapitolu? Na przykład jakiegoś dziennikarza albo komitet wydelegowany do oceny stanu kopalni węgla, ewentualnie oddział Strażników Pokoju tropiący powracających uchodźców.

Tyle tylko, że poza mną nie wraca w to miejsce nikt, a i ja tu wpadłam na chwilę. Władze Trzynastego Dystryktu sprzeciwiały się moim odwiedzinom. Twierdziły, że to kosztowne i pozbawione sensu przedsięwzięcie, skoro gdzieś nade mną musi krążyć co najmniej tuzin niewidocznych poduszkowców, a do tego wywiadowcy nie mają tu szans na skuteczne działanie. Ja jednak uparłam się, żeby zobaczyć Dwunastkę na własne oczy, i tylko pod tym warunkiem zgodziłam się na współpracę z nimi.

Plutarch Heavensbee, Główny Organizator Igrzysk i przywódca rebeliantów w Kapitolu, w końcu wznosił ręce ku niebu.

— Niech leci — zdecydował. — Lepiej stracić dzień niż jeszcze jeden miesiąc. Może krótka wycieczka do Dwunastki jest tym, czego jej potrzeba, aby mogła się przekonać, że stoimy po tej samej stronie barykady.

Ta sama strona barykady. Czuję przenikliwe ukłucie bólu w lewej skroni i przyciskam dłoń do głowy. Właśnie w to miejsce Johanna Mason grzmotnęła mnie zwojem drutu. Mieszają mi się wspomnienia, kiedy usiłuję oddzielić prawdę od fałszu. Jaki splot zdarzeń sprawił, że stoję teraz wśród ruin rodzinnego dystryktu? Trudno powiedzieć, bo objawy wstrząsu pourazowego jeszcze nie całkiem minęły i myśli nadal mi się płaczą, w dodatku przyjmują lekarstwa na osłabienie bólu i na uspokojenie, od których czasami mam zwidy. Tak mi się przynajmniej wydaje. Wcale nie jestem przekonana, że dostałam urojeń tamtej nocy w szpitalu, kiedy podłoga w moim pokoju przybrała postać dywanu z wijących się węży.

Jeden z lekarzy podsunął mi pewną technikę do wykorzystania w takich sytuacjach — zaczynam myśleć o najprostszej rzeczy, która na pewno jest prawdziwa, a potem stopniowo zastanawiam się nad coraz bardziej skomplikowanymi. Fakt po fakcie, kolejno odtwarzam w pamięci całą historię...

Nazywam się Katniss Everdeen. Mam siedemnaście lat. Pochodzę z Dwunastego Dystryktu. Uczestniczyłam w Głodowych Igrzyskach. Uciekłam. Kapitol mnie nienawidzi. Peeta trafił do niewoli. Uważa się go za zmarłego. To prawie pewne. Byłoby najlepiej, gdyby zginął...

— Katniss, mam do ciebie zejść? — W słuchawkach rozlega się głos mojego najlepszego przyjaciela, Gale'a.

Rebelianci uparli się, żebym zabrała radiotelefon. Gale siedzi teraz na pokładzie poduszki i uważnie mnie obserwuje, gotów natychmiast ruszyć na pomoc, jeżeli cokolwiek pójdzie nie tak. Uświadamiam sobie, że przykucnęłam z łokciami opar-

tymi na udach, dłońmi obejmując głowę. Z pewnością wyglądam, jakbym znalazła się na skraju załamania nerwowego. Niedobrze. Nie powinnam sprawiać takiego wrażenia, kiedy zaczynają mnie odzwyczajają od lekarstw.

Prostuję się i macham ręką, żeby go uspokoić.

— Nie trzeba, wszystko w porządku — zapewniam.

Na dowód tego oddalam się od szczątków starego domu i kieruję do miasta. Gale chciał zejść ze mną, lecz wolałam zrezygnować z jego towarzystwa, a on nie nalegał. Rozumie, że dzisiaj pragnę być sama, nawet bez niego. Niektóre drogi trzeba pokonywać samotnie.

Tego lata jest nieznośnie upalnie i sucho. Deszcz właściwie nie pada, więc sterty popiołu pozostałe po nalocie są nietknięte, nie ma wiatru, który rozwiałyby szary pył. Gdy idę, od czasu do czasu popiół przesuwają pod naciskiem moich stóp. Z uwagą patrzę na drogę pod nogami, bo zaraz po wylądowaniu na Łące straciłam czujność i nadepnęłam na kamień, który okazał się ludzką czaszką. Potoczyła się i znieruchomiła twarzą do góry, a ja przez dłuższy czas nie mogłam oderwać wzroku od zębów. Zastanawiałam się, czyje były, i przyszło mi do głowy, że w podobnych okolicznościach moje pewnie wyglądałyby tak samo.

Z przyzwyczajenia trzymam się drogi, ale to kiepski pomysł, bo roi się na niej od zwłok ludzi, którzy usiłowali zbiec. Część trupów spłonęła doszczętnie, jednak wiele osób uciekło przed ogniem, ale zapewne udusiło się dymem. Leżą teraz w mniej lub bardziej zaawansowanym stadium rozkładu i nieznośnym smrodem przywabiają padlinożerców i chmary much. To ja was zabiłam, myślę, mijając stertę trupów. I was. Was też.

Tak właśnie było. To moja strzała, wycelowana w słaby punkt pola siłowego wokół areny, wywołała mściwy gniew Kapitolu i doprowadziła do tej ognistej masakry. To przeze mnie w całym kraju Panem zapanował chaos.

W głowie pobrzmiewają mi słowa prezydenta Snowa, wypowiedziane rankiem przed zaplanowanym dla mnie Tournée

Zwycięzców: „Katniss Everdeen, dziewczyna, która igra z ogniem, wzniciła iskrę, a ta, nietugaszona w porę, podpaliła całe Panem i rozpęta piekło”. Wygląda na to, że nie przesadza i nie usiłował mnie zwyczajnie nastraszyć. Być może szczerze pragnął mojego wsparcia, ale ja uruchomiłam już proces, który wymknął się spod kontroli.

Pożar. Ciągłe się pali, myślę niemrawo. Widzę w oddali ognie w kopalniach węgla, z których bucha czarny dym. Nie został już nikt, kto ruszyłby na ratunek. Zginęło ponad dziewięćdziesiąt procent ludności dystryktu, a jakieś osiemset pozostałych przy życiu osób uciekło do Trzynastki. Jak dla mnie to właściwie to samo co dożywnia bezdomność.

Wiem, nie powinnam tak myśleć. Powinnam być wdzięczna mieszkańcom Trzynastki za to, że z otwartymi ramionami powitali chorych, rannych, głodujących, pozbawionych dobytku sąsiadów. Mimo to nie mogę pogodzić się z faktem, że Trzynasty Dystrykt odegrał ogromną rolę w zniszczeniu Dwunastki. To nie zwalnia mnie od odpowiedzialności, wina jest tak ogromna, że wystarczy dla wielu. Ale bez Trzynastego Dystryktu nie wzięłabym udziału w spisku mającym na celu obalenie Kapitolu i nie uzyskalabym odpowiednich do tego środków.

Obywatele Dwunastego Dystryktu sami nie stworzyli zorganizowanego ruchu oporu. Ich pech polegał na tym, że mieli mnie. Zdaniem części uchodźców to szczęście, że w końcu uwolnili się z Dwunastego Dystryktu. Wreszcie nie doskwiera im nieustający głód i nie dotykają ich represje, nie muszą pracować w niebezpiecznych kopalniach, nie batoży ich nasz ostatni Główny Strażnik Pokoju, Romulus Thread. Ludzie uważają ten nowy dom za cud, w końcu do niedawna nie wiedzieliśmy nawet, że Trzynasty Dystrykt wciąż istnieje.

Niedobitki z Dwunastki zawdzięczają przeżycie tylko i wyłącznie Gale’owi, choć on sam za nic nie przyjmuje tego do wiadomości. Gdy tylko impreza z okazji Ćwierćwiecza Poskromienia dobiegła końca i zabrano mnie z areny, w całym Dwu-

nastym Dystrykcie władze odcięły prąd i wyłączyły telewizję. W Złożysku zapanowała taka cisza, że ludzie słyszeli bicie własnych serc. Nikt nie zrobił nic, żeby zaprotestować, nikt nie uczcił tego, co się zdarzyło na arenie, a mimo to już po kwadransie na niebie zaroilo się od poduszkowców, z których spadł grad bomb.

To Gale od razu pomyślał o Łące, jednym z nielicznych miejsc wolnych od starych, przyprószonych węglowym pyłem domów z drewna. Zebrał więc, kogo zdołał, w tym moją matkę oraz Prim, i zaprowadził wszystkich na Łacę. Tam zorganizował grupę, która obaliła ogrodzenie. Wcześniej siatka była pod napięciem, lecz po wyłączeniu elektryczności stała się nieszkodliwą zaporą z drutu. Gdy ludzie ją sforsowali, ruszyli za Gale'em do lasu, do jedyne go miejsca, które przyszło mu do głowy, czyli nad jezioro, dokąd przed laty prowadził mnie ojciec. Stamtąd patrzyli, jak odległe płomienie pożerają cały ich dotychczasowy świat.

Na długo przed świtem bombowce odleciały, a pożar stopniowo dogasł. Ostatni maruderzy dotarli do celu. Moja mama i Prim założyły punkt pierwszej pomocy medycznej dla rannych, których usiłowały leczyć tym, co udało się naprędce zebrać w lesie. Gale dysponował dwoma łukami, kilkoma garściami strzał, nożem myśliwskim i jedną siecią do połowu ryb, co miało wystarczyć do wykarmienia ośmiu setek przerażonych ludzi. Przy pomocy tych, którzy nie odnieśli obrażeń, uchodźcy jakoś przetrwali trzy dni. Wtedy nieoczekiwanie pojawił się poduszkowiec, żeby ewakuować ich do Trzynastego Dystryktu, gdzie już czekały liczne, lśniące czystością, białe kwatery, mnóstwo odzieży i trzy posiłki dziennie. Trzeba było tylko pogodzić się z tym, że pomieszczenia mieszkalne wybudowano pod ziemią, ubrania są identyczne, a żywność niemal bez smaku. Dla ocalałych z Dwunastki takie drobiazgi nie miały jednak większego znaczenia. Byli bezpieczni. Ktoś otoczył ich opieką. Żyli i spotkali się z entuzjastycznym powitaniem.

Zapał gospodarzy uznano za przejaw życzliwości, ale pewien mężczyzna o imieniu Dalton, uciekinier z Dziesiątego Dystryktu, który przed kilku laty dotarł do Trzynastki pieszo, zdradził mi prawdziwą przyczynę ich zachowania. „Potrzebują ciebie, mnie i nas wszystkich. Jakiś czas temu wybuchła tu epidemia jednej z odmian ospy, która zabiła mnóstwo ludzi, a wielu pozbawiła płodności. Świeży materiał rozplodowy — tak nas widzą”. Jeszcze w Dziesiątce Dalton pracował na ranczu, gdzie dla zachowania różnorodności genetycznej bydła w stadzie trzeba było wprowadzać do krowich macic zamrożone znacznie wcześniej zarodki. Najprawdopodobniej Dalton ma rację w sprawie Trzynastki, bo prawie nie widuje się tu dzieci. Ale co to właściwie zmienia? Nikt nie trzyma nas w zagrodach, miejscowi przyuczają do pracy, młodzi chodzą do szkół. Młodzież po czternastym roku życia otrzymała najniższe rangi wojskowe i teraz trzeba się do nich zwracać: „żołnierzu”. Lokalne władze automatycznie przyznały każdemu uchodźcy obywatelstwo Trzynastego Dystryktu.

I tak ich nienawidzę. Inna sprawa, że teraz nienawidzę prawie wszystkich, a siebie najbardziej.

Przysypana warstwą popiołu ziemia twardnieje i teraz idę po wybrukowanym placu. Po przeciwnej stronie zauważam niewielką stertę śmieci w miejscu, gdzie kiedyś były sklepy, zamiast Pałacu Sprawiedliwości widzę górę pocerniałego gruzu. Podchodzę tam, gdzie, jak mi się zdaje, rodzina Peety miała piekarnię. Nie pozostało z niej nic poza stopioną bryłą pieca. Ani rodzice Peety, ani jego dwaj starsi bracia nie dotarli do Trzynastki. Przed pożarem uciekło mniej niż tuzin względnie zamożnych mieszkańców Dwunastego Dystryktu. Peeta i tak nie miałby po co tutaj wracać. Chyba że dla mnie...

Cofam się, nagle wpadam na coś i tracę równowagę. Siadam na płycie rozgrzanego słońcem metalu. Zastanawiam się, co to takiego, a po chwili przypominam sobie, że Thread niedawno wprowadził na placu pewne zmiany. Postawił dyby, słupy do batożenia skazanych oraz szubienicę, czyli to, na czego resztki

wpadłam. Niedobrze, bardzo niedobrze. Ten widok zapoczątkowuje falę wizji, które mnie nękają we śnie i na jawie. Widzę Peetę na torturach — podtapiają go, przypalają, szarpią, rażą prądem, kaleczą, biją. Kapitol usiłuje wydobyć z niego informacje o powstaniu, choć on naprawdę nic nie wie. Mocno zaciskam oczy i usiłuję nawiązać z nim kontakt na odległość wielu setek kilometrów, przesłać mu myśli, dać mu znać, że nie jest sam, choć tak naprawdę jest i może liczyć tylko na siebie. Nie zdołam mu pomóc.

Biegiem oddalam się od placu i zmierzam do jedyne go miejsca, którego nie zniszczyły płomienie. Mijam rumowisko po domu burmistrza, gdzie mieszkała moja przyjaciółka Madge. Nic nie wiadomo ani o niej, ani o jej bliskich. Czy ewakuowano ich do Kapitolu ze względu na stanowisko jej ojca, czy też pozostawiono na pastwę płomieni? Z popiołów wokół mnie buchają kłęby dymu, więc unoszę krawędź koszuli i przyciskam ją do ust. Nie chodzi o to, co wdycham, tylko kogo, i to mnie właśnie dławi w gardle.

Tu również spłonęła trawa i wszystko pokrył szary śnieg, lecz dwanaście porządných domów w Wiosce Zwycięzców pozostało nienaruszonych. Wpadam do tego, w którym mieszkałam przez ostatni rok, zatrzaskując za sobą drzwi i opieram się o nie plecami. Wygląda na to, że nikt tutaj nie zawitał, jest czysto i niepokojąco cicho. Po co wróciłam do Dwunastki? W jaki sposób te odwieczyny mają mi pomóc w znalezieniu odpowiedzi na nieuchronne pytanie?

— Co mam zrobić? — szepczę do ścian, bo naprawdę nie mam pojęcia.

Ludzie ciągle do mnie mówią, bezustannie, na okrągło. Plutarch Heavensbee, jego wyrachowana asystentka Fulvia Cardew, przywódca dystryktów, wysocy rangą wojskowi. Wszyscy. Z wyjątkiem Almy Coin, pani prezydent Trzynastki, która tylko się przygląda. Ma około pięćdziesiątki, a jej siwe włosy opadają na ramiona jak gładka peleryna. Dziwnie mnie fascynują, bo są

całkiem jednolite, idealne, bez choćby jednego odstającego kosmyka czy rozszczepionej końcówki. Ma szare oczy, ale inne niż mieszkańcy Złożyska, bardzo blade, zupełnie jakby ktoś odessał z nich prawie cały kolor. Są barwy śniegowej brei, która nie chce stopnieć.

Wymyślili mi rolę i chcą, żebym ją przyjęła. Mam się stać symbolem rewolucji. Kosogłosem. Nie wystarcza to, co zrobiłam w przeszłości — w trakcie Głodowych Igrzysk postawiłam się Kapitolowi, stworzyłam zarzewie buntu, a teraz muszę zostać najprawdziwszą przywódczynią rebelii, jej twarzą, głosem i ucieleśnieniem. Gdy większość dystryktów znajdzie się w stanie otwartej wojny z Kapitołem, to ja mam ponieść pochodnię zwycięstwa. Nie będę jednak sama, jest cały zespół ludzi, którzy zrobią mi makijaż, ubiorą mnie i napiszą mi mowy, zaaranżują wystąpienia — wszystko to brzmi upiornie znajomo. Mnie pozostanie tylko odgrywanie wyznaczonej roli. Czasami ich słucham, ale kiedy indziej tylko patrzę na idealne włosy Coin i zastanawiam się, czy to peruka. W końcu opuszczam pokój, bo zaczyna mnie boleć głowa, albo pora coś zjeść, albo czuję, że jeśli zaraz nie wyjdę spod ziemi, to zacznę wrzeszczeć. Nawet nie chce mi się niczego tłumaczyć, po prostu wstaję i bez słowa wychodzę.

Wczoraj po południu, kiedy zamykały się za mną drzwi, usłyszałam głos Coin. „Mówiłam, że trzeba było najpierw uratować chłopaka”, dobiegły mnie jej słowa. Miała na myśli Peetę. Zgadzam się z nią całym sercem. Byłby idealnym rzecznikiem.

A kogo wyłowili z areny zamiast niego? Mnie, a ja nie chcę współpracować. I jeszcze Beetee’ego, podstarzałego wynalazcę z Trójki, którego rzadko widuję, bo gdy tylko zdołał usiąść, natychmiast przewieźli go do wydziału doskonalenia broni. Poważnie, przetransportowali go razem ze szpitalnym łóżkiem do jakiegoś ściśle tajnego ośrodka i teraz pojawia się jedynie od czasu do czasu podczas posiłków. To wyjątkowo inteligentny człowiek i bardzo oddany sprawie, ale marny z niego materiał na przywódcę. Jest jeszcze Finnick Odair, symbol seksu z dystryktu poła-



wiaczy ryb, ten, który pomógł Peecie przetrwać na arenie, kiedy ja zawiodłam. Z niego też chcą zrobić przywódcę rebeliantów, tyle że najpierw musieliby go ocucić na dłużej niż pięć minut. Nawet kiedy jest przytomny, trzeba powtarzać mu wszystko po trzy razy, żeby cokolwiek do niego dotarło. Zdaniem lekarzy to wynik porażenia elektrycznego na arenie, ale ja wiem, że sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana. Finnick nie może się skupić na niczym w Trzynastym Dystrykcie, bo za wszelką cenę próbuje zrozumieć, co stało się w Kapitolu z Annie, dziewczyną, która straciła rozum. Ją jedną kocha na całym świecie.

Pomimo poważnych zastrzeżeń musiałam wybaczyć Finnickowi jego rolę w spisku, który doprowadził mnie tutaj. On przynajmniej ma jakieś pojęcie, przez co przechodzę. Poza tym nieustanna złość na kogoś, kto tyle płacze, pochłania zbyt dużo energii.

Na parterze skradam się, aby nie narobić hałasu, i zabieram kilka pamiątek: ślubne zdjęcie rodziców, niebieską wstążkę dla Prim, rodzinny zielnik leczniczych i jadalnych roślin. Książka upada i otwiera się na stronie z żółtymi kwiatami, a ja pośpiesznie ją zamykam, bo to Peeta namalował te kwiaty.

Co ja mam teraz zrobić?

Czy w ogóle jest sens, żebym cokolwiek robiła? Moja mama, siostra i rodzina Gale'a — wszyscy nareszcie są bezpieczni. Co do reszty Dwunastki, to ludzie albo nie żyją, i nikt nic na to nie poradzi, albo chroni ich Trzynastka. Pozostają jeszcze rebelianci w dystryktach. Rzecz jasna, nienawidzę Kapitolu, ale też nie wierzę, że jako Kosogłos pomogę tym, którzy pragną obalić władzę. Jak miałabym wesprzeć dystrykty, skoro każdy mój ruch owocuje cierpieniem i śmiercią? Staruszek w Jedenaście Dystrykcie zginął od kuli, bo zagwiżdżał. Gdy usiłowałam obronić Gale'a przed chłostą, interweniowały siły porządkowe. Mojego stylistę Cinnę wywleczono z sali ekspedycyjnej, całego we krwi i nieprzytomnego, tuż przed rozpoczęciem igrzysk. Źródła Plutarcha utrzymują, że Cinna zmarł podczas przesłu-

chania. Błyskotliwy, zagadkowy, uroczy Cinna nie żyje przeze mnie. Odganiem tę myśl, bo jest niecznośnie bolesna, i jeśli tego nie zrobię, to całkiem stracę panowanie nad sobą.

Co teraz robić?

Mam się stać Kosogłosem... Czy ewentualne korzyści na pewno przewyższą szkody? Kto mógłby mi szczerze odpowiedzieć na to pytanie? Z pewnością nie ludzie z Trzynastki. Teraz, kiedy moja rodzina i bliscy Gale'a są bezpieczni, przysięgam, że chętnie bym uciekła, ale pozostała mi jedna sprawa do załatwienia: Peeta. Gdybym miała pewność, że nie żyje, zniknęłabym w lesie i nawet bym się nie obejrzała za siebie. Dopóki jednak tego nie wiem, jestem unieruchomiona.

Słyszę syknięcie i błyskawicznie się odwracam. W drzwiach kuchni, z wyprężonym grzbietem i położonymi uszami, stoi najbrzydszy kocur na świecie.

— Jaskier — mówię.

Tysiące ludzi zginęło, ale on przeżył i wcale nie wydaje się zabiedzony. Co jada? Może wchodzić do domu i wychodzić przez okno w spiżarni, które zawsze zostawialiśmy uchylone. Na pewno żywił się polnymi myszami. Nawet nie zamierzam brać pod uwagę innej możliwości.

Przykucam i wyciągam rękę.

— Chodź tutaj, stary.

Gdzie tam. Jest wściekły, bo go porzuciłyśmy. Poza tym nie mam dla niego smakołyku, a on akceptował mnie przede wszystkim ze względu na atrakcyjne resztki, które mu podsuwałam. Kiedy spotykaliśmy się w starym domu, bo oboje nie lubiliśmy nowego, przez pewien czas łączyło nas coś w rodzaju więzi. To zupełnie jasne, że nic z niej nie zostało. Kot patrzy na mnie i mruga nieprzyjemnie żółtymi oczami.

— Masz ochotę spotkać się z Prim? — pytam.

To imię przykuwa jego uwagę. Reaguje wyłącznie na nie oraz na własne. Tym razem miauczy ochryple i podchodzi bliżej. Podnoszę go, głaszczę, a następnie zbliżam się do szafy, wyciągam

torbę myśliwską i bezceremonialnie wpycham kota do środka. Inaczej nie dałoby się go przenieść na pokład poduszkowca, a Jaskier to oczko w głowie mojej siostry. Jej koza, Dama, stworzenie o wymiernej wartości, niestety nie raczyła się pojawić.

W moich słuchawkach głos Gale'a oznajmia, że pora wracać. Myśliwska torba przypomina mi jednak o jeszcze jednej rzeczy, którą chcę zabrać. Zawieszam torbę na oparciu krzesła i pędzę po schodach do swojej sypialni, bo tam, w szafie, wisi myśliwska kurtka mojego ojca. Przed Ćwierćwieczem Poskromienia przyniosłam ją tutaj z poprzedniego domu, bo uznałam, że po mojej śmierci jej bliskość pokrzepi mamę i Prim. Dobrze, że to zrobiłam, inaczej z kurtki zostałyby kupka popiołu.

Dotyk miękkiej skóry wpływa na mnie kojąco i wspomnienie godzin, które spędziłam nią otulona, na chwilę mnie uspokaja. Potem ni z tego, ni z owego dłonie zaczynają mi się pocić, a na karku czuję niepokojące mrowienie. Odwracam się gwałtownie i rozglądam po pustym, sprzątniętym pokoju. Wszystko leży na swoim miejscu. Nie przestraszył mnie żaden dźwięk, więc co?

Śwędzi mnie w nosie. To ten zapach, duszący i sztuczny. Wśród suszonych kwiatów w wazonie na toalecie dostrzegam białą plamkę. Ostrożnie podchodzę bliżej i widzę, że wśród suchych kuzynek stoi świeża, biała róża. Idealna, do najmniejszego kolca i jedwabnego płatka.

Od razu wiem, kto ją przysłał. Prezydent Snow.

Kiedy zaczynam mieć odruchy wymiotne, wycofuję się i znikam. Jak długo tu jest, dzień, godzinę? Zanim dotarłam do domu, rebelianci przeprowadzili kontrolę bezpieczeństwa w Wiosce Zwycięzców w poszukiwaniu materiałów wybuchowych, podsłuchów, podejrzanych przedmiotów. Być może róża nie wydała im się godna zainteresowania. Tylko ja zwróciłam na nią uwagę.

Na dole chwytam torbę myśliwską i wlokę ją po podłodze, dopóki nie uświadomię sobie, że w środku jest żywe stworzenie. Na trawniku gorączkowo macham do poduszkowca, a Jaskier

szamocze się jak oszalały. Wymierzam mu kuksańca, ale tylko go rozjuszam. Pojazd w końcu się materializuje. Opada drabina, na którą wchodzi, unieruchamia mnie prąd, a po chwili już jestem na pokładzie.

Gale pomaga mi zejść z drabiny.

— Wszystko w porządku?

— Tak. — Rękawem ocieram pot z twarzy.

Chcę wrzeszczeć, że Snow zostawił mi różę, ale nie jestem pewna, czy zdradzać tę informację, kiedy patrzy na mnie ktoś taki jak Plutarch. Po pierwsze, zrobię z siebie wariatkę. Albo mi się przywidziało, co jest bardzo prawdopodobne, albo przesadzam i w ten sposób funduję sobie bilet powrotny do świata wywołanych farmakologicznie snów, a przecież z całych sił staram się z niego uciec. Nie rozumieją, że przecież nie chodzi tylko o kwiat, nawet nie o kwiat od prezydenta Snowa, tylko o zapowiedź zemsty. Nie rozumieją, bo nie siedzieli z nim jak ja sam na sam w gabinecie, kiedy mi groził przed Tournée Zwycięzców.

Śnieżnobiała róża na mojej toalecie to wiadomość tylko dla mnie i dotyczy niedokończonych sprawy. Szepcze: „Mogę cię znaleźć. Wiem, jak do ciebie dotrzeć. Może nawet teraz na ciebie patrzę”.